

Kochankowie Ojczyzny

Powieść poetyczna z XIII wieku

przez Ernesta Bulawę.

Poświęcone
Pani Sewerynie Duch j.

Wstęp.

Jak błyskawica jest ta wieść dziejowa
Co w piersi gminnej dziewiczo się chowa,
Raz błysnie, całe odsłoni ci światy
I całą duszę wiosennymi kwiaty
Zasypie, wonią spiwaka upoi,
Potém przepada w ciemnościach bez końca
Kędy posągiem zezarowanym stoi
Po pierś kamienna a jednak do słońca
Dziejów błagalne wypręża ramiona
I źródło życia sączy się z jęj łona —
A zda się w piersi marmurowej płonie,
Miast serca lampa, w żywota zakonie! . .
To błyskawicą buchnie jak wulkanem,
To złotą żyłą przyezai się w ziemi
Aż ją wygrzebiesz i loty orłemi
Wzniesiesz do słońca, z licem łzami zlaném
Z arią zroszoną

Tą łzą zronioną

Po nad przeszłości szumiącym kurhanem!
I perły z ócz jęj cicho spadające

Co stalaktytów rytmiczną rodzicą,
Kiedy na słońcu jasno ci zaswiecą
To poznasz własne łzy twoje gorące
Coś o północnej wyplakał godzinie —
Gdy duszy twojej rano już przeminie! . . .
I kiedy piersią padniesz u kurhanu
Jak z łona matki ssąc z ojezystej ziemi
Kości zatrzęsą się! . . . przed oczy twémi
Wstaną postacie znane dziejów ranu! . . .
I w przyszłość wiejąc białym korowodem
Odezwą ci się głosami przeszłości
Co grzmiały ongi nad wielkim narodem!
Co przeszły w jego ducha! z ducha w kości! . . .
Odezwą ci się jako orły w chmurach
Po nad zameczyska płynące w lazurach
Że sam z tęsknoty za niemi zaginiesz —
Dokąd w lot własny, ich kluczem nie spłyniesz
Lecz to zostanie w głębiach twojej duszy
Jak tony w arfie na pół pozostałe,
Które szum morza wichrami zagłuszy . . .
I ludziom będzie ledwie zrozumiałe
Bo pieśń żałobna powie dla nich — tyle
Co szum samotnej sosny na mogile!

I.

Gdzie fala Wisły wstęgą zatoczona
Objęła bory błękitnym ramieniem,
Na skale skała piętrzy się zjeżona
A na niej klasztor wrósł czasów brzmieniem —
Czasów — co bory w puszczy wspominają
Gdy wichry Tatrów o nie zapytają —
Od Świętokrzyżkiej góry lecą głosy
Do Niepołomic puszczy rozhukane
I dzikie skargi miotają w niebiosy
Aż Białowieży bory nadąsane
Pod swoje barki tych skarg lament dziki

Przytulą w ciszy wieków kołysany,
Krwawych koralów różańcem nizany
Kiedy tę ziemię naszły najezdniki . . .
Jakkolwiek później potomnemi czasy
Pomyślność wszelka i królewska hojność
Ojcowsko, ziemi téj, darzą spokojność
Niemogła wieki zagrzebać swój klęski
Ta Sandomierska rozdarła ziemica
Choć później naród pomścił się zwycięzki
I chwałą, smutne rozpogodził lica —
Klasztor nad Wisłą, po nad czoła borów,
Wznosił wieżyce, najstarszy z klasztorów,
I dzwony jego po nad Polską grały
Jakby Chrobrego orle głosy wiały
Gdzieś w ołowianych chmurach, z miłościwą
Grozą dzwoniące, po nad nieszczęśliwą! . . .
Mur czoło zmarszczył, odkąd zapamięta
Jak się te fale krwawo zapieniły
Jak męczenników garstka w pień wycięta
Jak w jassy r tłumy, Tatary goniły. . . .
I dziewięć wozów uszyma ładował
Z trupów, co w krajach Polski pomordował
I tłumy dziewic powłókł do swój ziemi
I strącał w Wisłę dłońmi przekłętymi!
Okropną wieścią, pamięć dni tych krwawych
Wstrząsa tysięcy pierściami ze zgrozą
Zrenie tysiące wspomnieniami łzawych
Patrzają ze trwogą! —

Mater dolorosa

Jest dotąd jeszcze ta błogosławiona
Ziemia, w tęczowe wdzięki upowita,
Napróżno z wiosną co raz to rozkwita
Próżno ją Wisła w srebrzyste ramiona
Tak macierzyńsko ujęła, i fale
Toczy, w wiekami niepożytej chwale,
Sama jak córka, do niej przytulona —
Próżno słowiki pieśniami bez końca,
U brzegów Wisły zawodzą przez knieje,

Próżno skowronki chórami do słońca
Lecą — wieszczące ziemi jasne dzieje,
Dudarzy siwe, zdziczałe postacie
Chodzą samotnie, i patrzą ponuro,
I ledwie z pieśnią raczą przysiąść w chacie
I dalej spieszą, doliną a górą
Znałem Dudarza, Bogumił z Barezewa,
Co pieśń o dziewce z Sandomierza śpiewa.
Znałem dudarza . . . on mi piał pieśń starą
Z dawnych dni klęski a prastarych czasów,
Kiedy się serca paliły ofiarą
Na chwały Polskiej ojczystym oltarzu,
A choć się ziemia żalobą swych lasów
Okryła, ziarna chwały na emętazu
Rzucone, kłosem życia zmartwychwstały . . .
A więc dwa serca śpiewam, co młodości
Ogniem namiętym, tak się ukochały,
Że Polskę w swojej zakłęły miłości! . .

II.

Było to dziewczę o długich kosach
Z piośnką na ustach, z kwiatkiem we włosach,
Wiotka jak trzcina, jak lilia biała,
Od wiosny uśmiech swój pożyczala —
O! co za serce biło tam w łonie,
I snem dziewiczym, jaka tam dusza
Się kołysała! . . w oku gdy płonie
Wraz się jak gwiazdka odzwierciedlała,
W jeziorze, którem wiatr nieporusza. . . .
I była pusta — o! latawica,
 Była szczebiotka
 Wiotka
 I zwinna,
I niechodzila ale latała,
Jakby skrzydełka u nóżek miała
Jakby po piórku jaskólek brała . . .

I była jeszcze, bardzo dziecienna —
Czasem w zwierciadło wody patrzyła
W kaliny warkocz czarny stroiła,
Śmiała się pusto klaszcząc w rączęta
Nad wodą czasem się zamysliła,
I kiedy słońcu wieczór ptaszęta
Przyśpiewywały . . . ona rączęta
Sobie na pierś też białą złożyła,
Ot — i nuciła — nuciła — — nuciła — — —!
Gdy jój wieczorny wiatr rozwiął włoski
Zrywała się — i biegła do wioski,
Wracała nieraz, mrokiem śród boru
Do ustronnego w ciszy klasztoru,
Po drodze błędne światła goniła,
I czasem z cieniem swym się droczyła —
Lecz choć szczebiotka i tak dziecinna,
W oczętach miała taką tęsknotę,
Sokolą jakąś przez rzęsy złote . . .
Nazwać ją trudno bo za niewinna —
Takiój za szaty słowa niestają —
Dziewice polskie, taką miewają —!
I dzisiaj dziecię — ptak — wiotka trzcina —
Jutro niewiasta z siłą olbrzyma
Co duchem dźwignie, sercem przeczuje,
Więcej niż wiosna cicha rokuje . . .
Taką tęsknotą jak zapłakana
O wschodzie słońca konwalia biała,
Jak u Madonny mistrza Rafała
Kiedy w błękitach błysnie świetlana . . .
Zdała się nito przed grzeczem Ewa,
Której świat rajem, każdy liść śpiewa,
Lecz miała siłę w blasku oblicza
I wielkie oczy co w świat patrzyły
Głębiój, niż wietrzne słowa zdradzały — —
Choć się dziecinna, niżli dziewicza
Raczój zdawała, choć pustelnicza —
Taką urosła w ciszy zakonnój,
W grozie i chłodzie celi ustronnój,

Rano, najpierwsza wstaje do chóru
Zdała się ptaszki z zakonnkami
Budzić — i pierwsza gwiazdę wieczoru
Wita piosenek kołysankami
W zbożu po szyję, nieraz brodziła
Biorąc bławatki

Na ołtarz matki

Co w cichój celi u xieni była —
Xieni klasztoru ze cnót swych sławiona
Sierotą wzięła ją, do swego łona,
Od dni najpierwszych rzewnie tuliła
Pani co króla siostrzycą była
Lecz z tronu zeszła być pustelnicą
Gronostaj zdjęła — a włosiennicą
Się przydziała, chować sieroty
Strzedz ehorych, ciemnych oswiecać ciemnoty,
Ale tę z sierót najrzewniej lubiła,
I dla niej habit po sobie znaczyła —
W jassyrodziców Tatarzy jój wzięli,
Ona ostatnia była po kądzieli,
I miała tę sieroctwa aureolę,
Jakić niemają tego świata króle.
Zdała się lotną od chmur gołębicą,
Aniołem wiosny — — takim! nie kobietą,
Była jak gwiazdy, te, co czasem świecą
Z warkoczem srod gwiazd . . . dziewczęciem kometą! . .
Jak jasny cichy, aniołek mały
Apokalipsy, co tajemnice
Natchnień, tu szeptał dzikie tęsknice
Apostołowi jak lilij białej
Woń w pierś oddechem niemo wciągnięta,
Jak pieśń natchnienia w sercu poczęta
A nad słońcami skończona — święta! . .

* * *

Samotna — często w lasy chodziła
Zbierała kwiaty, brała maliny,

I wszędzie — zaszła, niezabłądziła,
Choć w skał najdziksze zbiegła szczeliny —
Nieraz wśród lasu, skał wodospady
Grzmiały wezbrane, po burzach wiosny
Ona w najgęstsze po skałach sosny
Jak koza pięła się, xiężyc blade
Przyświecał nad nią, a z koszulinki
Fałdami, wietrzyk igrał powolnie,
Ona nad dzikim źródłem swawolnie
Z głazów na głazy skacze do brzegu,
I zbiera świeże niezapominki,
Snop ich na plecach unosi w biegn . . .
A włosy lecą wiatrem porwane . . .
I puste dziewczę wszędzie już znane —

* * *

Tam pod skalistą a stromą górą
W której sąsiedztwie wieków dzwonami
Klasztor grał, po nad Wisły nurtami,
Dzika się czeluść rozwarła ponuro,
Co szła pod ziemię ciemnymi chodnikami,
A jak mówili starce i lirniki,
Że aż do piekła — het! prowadzić miała —
Idąc tamtędy, eiżba się żegnała,
Zwąc piekłem — z trwogą to miejsce mijala —
Pieczara była głazy zawalona
Swierkiem zarosła — nikt niepostał nogą,
Mówiono tylko, że smok od jój łona
Wychodzi czasem, wspomniany z trwogą
Potomek smoka Wawelowego
Co zdechł od miecza Krakusowego —
Dziewczę się wprawdzie z trwogą żegnało
Lecz do téj skały zawsze wracało,
I zadumane, niewiedząc czemu
Chciało wejść w środek, o! wejść koniecznie!
Widzieć ten świat co w ciemnościach wiecznie
Pogrzeban — łonu groził tęsknemu —

I nic niemówiąc, co dnia po glazie
Strącała na dół od skał otworu,
Tak że za miesiąc, jak do drzwi chóru
Wejść można było do grot zaćmionych,
Od wieków dzikich i opuszczonych —
Aż osłabiona, raz się wielka bryła
W noc oberwała — i na dół stoczyła
Weszła — tak nocno, ponuro było —
Coś ją za serce tak pochwyciło
Jak dłoń żelazna, że martwa stała
Jak posąg wryty — wśród skał — jak skała . . .
Szła długo — długo — wśród ciemnej nory
Nad nią skaliste smoki, potwory,
Zrazu uciekła — i znów wróciła
Choć cała pierś jój jak młotem biła . . .
W ciemności ponik*) szeleścił tylko
Niedopérz zerwał się napłoszony,
I krople wody za każdą chwilką
Spadały, z glazu, w glaz napiętrzony . .
Jak gdyby glazy niemo płakały
Za światłem życia co postradały . . .
I zdało jój się kościołem podziemnym
Olbrzymim — dzikim — dalekim i ciemnym . . .
Otechłanie zdały się jój splecione
Z smoków i strachów co uciśnione
Głazów dzwigały olbrzymie sklepienie
A w dali — nocne przestrzenie! . .
Kiedy stawała —

Grota rozjaśniała

Się zwolna — mroczne w dal pierzchały cienie —
Wilgotne pruchna zerkwały tam lśniaco,
Promień dnia konał nito stroną drzącą,
Stąpiła dalej — patrzy — a w ciemności
Stał przed nią starzec wielki i straszliwy
Biały — a brodę miał wielkiej długości
W głębi stał — rękę wznosił jak Pan gniewliwy

*) Strumyczek.

A z pod stóp jego źródelko płakało,
Co się w jaskini szlochem ludzkim zdało
I w dal strumyczkiem po skałach szumiało . . .
Krzyknęło dziewczę — do ziemi przypadło,
(A był to dawny Bóg gromów pogański)
Takie nią straszne uczucie owładło,
Że wstać niemogło — patrzy — lśni coś w dali,
Patrzy — to rdzawy ryngraf chrześcijański
Przed wieki tutaj stracony — i w fali
O wyszczerbiony miecz ręką potraça,
I pancierz leżał — chwyciła go drżąca,
I rozrzucone kości się bielily —
Pancerz włożyła — ryngraf — miecz co siły
Chwyta — i bieży po skałach skacząca,
Płosząca sowy — w duszy się modląca
Uchodzi nazad — stwory ją gonily . . .
Aż wyszła na świat — zadyszana była —
I ryngraf złoty na pierś zawiesiła,
W pancerzu jako anioł Michał, była,
A miecz podniosła do nieba śmiejąca,
I złoty promień zachodniego słońca
Drzał jój nad czołem — włosy wiatr rozwiewał —
A nad nią zawisł orzeł wśród błękitu
Jak gdyby szumem swych skrzydeł ją wzywał
I wołał: za mną! do szczytu! do szczytu! . . .

III.

Odkąd Mongoła piekielne kopyto
Ziemie posoką polaną skażiło
Próżno się falą zbóż wszystko pyszniło
Ziemia się zdała już krwi własnej sytą —
I wszędzie kości rolnik wyorywał
Za pługiem tylko smutne pieśni śpiewał
Próżno po lieu Sandomierskiej ziemi
Toczyłeś okiem, wszędy spustoszenie,
Płacz wdów, jęk sierót, wieczne utęsknienie

Objęło wszystko łuski wężowemi! . . .
Psów skowytaniu, krucy głosy swémi
Wtórzyli dziko nowych klęsk przeczuciem,
Duch ludu czarów, zaezadział otruciem!
Łóna pożarów oczyniła męstwo
Po trupach braci zbyt smutne zwycięstwo! . .

* * *

W klasztornej celi Adelaidy matki
Cisza i świętość w koło panowała
Cela gotycka z żelaznymi kratki
W górze się lampa smolna kołysała
A kolorowych szybek oczka małe
W gockich załomów marmur przerdzewiałe
W środku ołtarzyk w kolumny hebanu
Srebrnymi kwiaty zdobnie wykładany
Nad nim Zbawiciel z natchnieniem ciosany
W kości słoniowej na cedrze Libanu —
I matki Bożej obraz z swą dzieciną
Na złocie z dawną sztuką malowany
Aż od Bizancyum z za morza splawiany
Pełny i grozą — i niebios nowiną . . .
W koło relikwie, drzewo święte krzyża
I trupia głowa, i xięgi przymierza,
Dębowy klęcznik, na ziemi łożnica,
I dyscyplina — wyżój kropielnica —
A w głębi komin co kłodą przyświeca
Co w marmurowe oprawny rzezania
Miał orła Piastów na czerwonej tarczy —
W koło na ścianach świętych malowania,
Konterfekt króla — co za szczęście starczy,
Bo ukochany córce świątobliwej,
A pod nim napis: Kaźmierz sprawiedliwy!
Był téż Kadłubek tam błogosławiony
Drogi wspomnieniom Adelaidy matki,
Był i Goworek starością schylony
Co tak piastować, znał Piastowe dziatki —

Z tronu zstąpiła królewska siostrzyca
By się w klasztorne przyoblekła szaty
I oprócz biednych, nikt nieznał jój lica,
I zapomniała na swe antenaty
A czołem w prochu, w pokorze bez granic
Życie doczesne miała sobie za nic
W modłach czuwała długo po północy,
Aż się klasztorne odezwały kury,
Rannych i chorych — a i ból sierocy
Koić umiała, i klasztorne chóry
Wodziła pierwsza, jak pszczoł rojem sama,
Szła w życiu — jakby jój niebieska brama
Stała otworem — i od własnej matki
Czasem już do niej, odbiegały dziatki. —

IV.

Północ — a wiebry szamoczą drzewami,
I chorągiewka po nad basztą spiewa,
I lampka mruga, płonąc dogorywa
A xieni sama czuwa z modlitwami
Na swym dębowym klęczniku wzniesiona,
Kłęczy, na ołtarz niemo zapatrzona,
Zda się jój skronie od natchnienia płoną
Z szczęściem uniosła ku górze ramiona
I tak się zdała raczej jakiejś świętej
Posągim iście, niż kobietą żywą,
Była płonąca lampą, niepojętej
Rozkoszy pełną — niebiesko szczęśliwą! . . .
Cała wiekowa pobożność Piastowska
Co Odrowążów i Kingę wydała,
Co pod Lignicą kości Piastów siała
Z piersi Jadwigi zakonnego proga
Ulatująca z Polski wprost do Boga,
Płomienna jako piorunowa zgłoska,
Ta co jedynie w tych wiekach niedoli
Dała zwyciężyć w sobie, to co boli

I dopłoneła jak gromnica boska!
Ach! ta mistyczna harmonja się cała
W oczach i twarzy jęj odzwierciedlała
Wzniósłszy ramiona, zda się że spiewała
Spiew duszy niemy — a pełen zachwytu,
Co aniołowie dospiewują w górze
Biorąc woń modlitw we swietlanym chórze,
Wplecioną w harfy u niebiosów szczytu! . . .
Zda się że grzechy innych na się brała
I klęski kraju, że odżegnywała — —
I że w Teresy świętej światy wnika
Że Danta niebo i Fra Angelica
Czuje w modlitwie! w natchnieniu przenika! . . .
A po jęj twarzy pobladłym marmurze
Łza cicha . . . niemo przed Bogiem spływała! . . .
Jak gdyby życie swoje spowiadała
Gdy starą basztą, trzęsły nocne burze —
W kąciku celi, na nizkiem posłaniu
Z rozpuszczonými włosy dziewczę spało,
To samo hoże dziewczę co latało
Po lasach, łąkach, k'wiosny powitanium,
Za motylami, motylem śmiejące,
Do gwiazd, w anielskich snach, czysto teskniące.
Sni cicho, twarz jęj rumieniec okrasiał
Lecz niespokojnie — co zamknie powieki
To się porywa — i na wiatr daleki
Nastawia ucha, i przeciera czoło
I zgarnia włosy, i szepcze wesoło
Przecież nieśmiało: Idźcież spać matuniu! . . .
Raczie raz spocząć, pieje kur północy
Lecz matka zda się głosu jęj niebaczy,
Bo nawet do nięj przemówić nie raczy,
I długo jeszcze z Świętymi bawiła
I duch jak gołąb' odlatał od ziemi,
Aż się na jutrznię wieża rozdzwoniła
Wstała — i wyszła czuwająca xieni;
Głośno chór mniszek ozwał się do koła,
Co korytarzem szły na chór kościoła,

Przez drzwi rozwarte, w sklepach korytarza
Chór się ich gubił — z blaskami gromnicy —
I wziąwszy kilka kropel z kropielnicy
Wyszła za niemi Stasia . . . śpiew ją woła . . .
A w celi zgasła lampa u ołtarza — — —

V.

Pewnego razu, matka się stroskała
Bo dzień przemiął, i Stasi nie było,
Pierwszy raz jój, w kościele nie widziała
Na sercu jakoś, ciężko się zrobiło,
Mijają długie, o, długie godziny
Słońce w Wiślane zatacza się tonie
Dzwon umilkł, słowik ozwał się z wikliny
Niepokój zawrzał w zatrwożoném łonie . . .
Co raz to wzrasta o Stasię obawa,
Już noc szarzeje . . . otwarła okienko,
W oddali Wisła . . . szum lip . . . i maleńką
Gwiazdką tli niebo po pod chmurą ciemną,
Z zachodu chmura sunie się jaskrawa
I xieni, woła: Zmiłuj się nademną
Boże! — — — — — — — — — —

VI.

Aż drzwi od celi z trzaskiem się rozskoczą
I wpada Stasia, drżąca, zapłakana
Jak łania łowców pogonią ścigana
U stóp jój kucze włosy się roztoczą
I Stasia drżąca woła: Matuleńko!
O małym życiu dziś nie postradała,
Wybiegłam w bór, za budnika chateńką
Brałam jagody przez kniejem śpiewała,
Tak w las zabrnęłam daleko, głęboko,
W tém słyszę w głębi psy po lesie grają

Coraz to bliżej nad leśną roztoką
I drzewa drzewom te głosy podają;
Słucham, w pobliżu krzaki zatrzeszczały
Straszliwym rykiem zatrzęsł się bór cały,
I niedźwiedzica na dwu łapach spięta
Stała przedemną, za nią niedźwiedzięta . . .
Toczyła pianę, pierś miała skrwawioną
Jak szatan cała była rozwściekloną,
Stanęła — rykła! już w uścisk śmiertelny
Miała mnie porwać! matko! dzień piekielny!
W tém mi gwiznęła po nad głową strzała
Jedna i druga, jak gromem zwalona
Już dzika bestya na ziemi leżała
Psa w konające porwawszy ramiona,
Już pod ogarów zgrają się szarpała! . .
I przypadł rycerz o! dzielny i śmiały
Pchnął ją oszczepem — rykła — i skonęła! . .
Padłam bez życia — noc oczy pokryła,
I niewiem co się dalej zemną działo,
W chatce budnika wreszciem się zbudziła
Serce jak młyński kamień mi ciężało . . .
Przy mnie na ziemi klęczał rycerz młody
W hełmie podawał mi krynicznej wody,
Niemo — jak anioł w oczy mi poglądał . . .
Szaty méj dotknął drżącemi ustami
I do klasztoru odprowadzić żądał
Aż mnie tu przywiódł nocy ciemnościami —
I świętojańskie muszki nam świeciły
Czarną nas nocą przez bór prowadziły . . .
Zdrętwiała xieni, milczy przerażona
I tylko dziewczę porwała do łona
Strofować nie śmie, cichą łzę otarła
Zbiegły się mniszki, okno w pół otwarła,
I Stasia wstała idzie . . . nagle klękła
I u stóp matki jak gołębek jękła
Kiedy przypadnie przez strzelca zraniony
W oczy ostatni raz już zapatrzony — — —
I rzekła matko! . . niedość! to jest kara

Za to com długo przed tobą tała,
Zbyt wielką była moja w siebie wiara,
O! matko . . . przebacz mi! . jam . . .

„W piekle była!!!“

W piekle — w podziemnym, co tak ludzie zowią
W czarnej pieczarze, w pobliżu klasztoru
Co się głazami zakryła wśród boru,
O której tyle strasznych rzeczy mówią . . .
Zstąpiłam na dół, w piwnicę bez końca
Co się potworów korytarzem wije
Jeżeli tam zbłądzi, kona promyk słońca
Krople po kroplach płaczą cicho, żmije
Z kamienia sterczą, sów i nietoperzy
Gniazda i cichy strumyczek tam bieży . . .
Szłam raz, wracałam, coraz, coraz dalej
Coraz to śmielój, coraz poufalój,
Raz wreszcie rdzawą natrafiłam zbroję
I na się wzięłam, przez pustotę moję,
Spotkałam starca, co tam stał z kamienia
I grozić zdał się, ale niebył żywy,
Ani był duchem! bo miał odłamana
Rękę, i szatę bardzo wyszczerbiana,
Lecz kiedy z ciemnic wybiegłam sklepienia
W zbroi, szyszaku, czy mi urodziwiój
Szłam patrzeć w źródło . . .

Rycerz ciemnowłosy

Stał milcząc przy mnie, długo — i drgnął cały —
Gdy, wzrok mój oczy jego napotkały,
O! matko! oczy jak te ot! niebiosy!
Kiedy wzrok jego pierwszy raz spotkałam . . .
To zdaje mi się . . . że i ja zadrżałam . . .
Oczy piękniejsze, niżli te! królewskie
Co patrzą z ściany, łagodne, niebieskie
Ale przeżegnał się, i pytał z trwogą
Czym duch jaskini, co tam pokutuje?
Wtedy w podziemia uszłam wietrzną nogą
Zrzuciłam zbroję, on uszedł w głąb lasu,
I niewidziałam go od tego czasu —

Lecz . . . żem uciekła, dziś bardzo żałuję,
Bo ile razy do piekła chodziłam
Próżno się o to co wieczór modliłam
By go raz jeszcze, choć widzieć! o matko!
Ale nieśmiałam o nim tobie prawić
Zawsze wolałam na później zostawić
Bo to zjawisko było mi zagadką . . .
Ale on był jak oni aniołowie
Co na obrazach są . . . lub, w pieśni słowie! . . .
O takim mężu ślepy lirnik śpiewał
Co dzikie boje z Tatarami miewał —
Aż dziś, gdy wyszła na mnie niedźwiedzica
Znowu się zjawił młodzian tegóż lica
Oszczepem przebódkł, o ziemię powalił,
I własnym życiem — życie mi ocalił! . . .
I dalej słowy w łzach przerywanemi
Głębie swój duszy wciąż spowiada xieni,
Głębie przejrzyste . . . gdzie najgłębiej jeszcze
Jako kamyki w rzece, czucia wieszczę,
Każdą myśl czystą widziałeś . . . mówiła
Jak ptak w zachodzie słońca rozśpiewany
W złocie promieni i ciepła kąpany
Nim go wieczorna rosa oziębiła . . .
Jak lilia w pierwszej kwitnienia godzinie
Kiedy ku słońcu swój kielich rozwinie,
Że przed snieżnością jój anioł przyklęknie
Zły człowiek zmilknie — albo się ulęknie!
Umilkła bladą twarz we łzach ukryła
Milczała chwilę — i trwożnie patrzyła
W oblicze matki, co się zasepiło
Jak niebo, kiedy przed burzą się skryło —
I rzekła z cicha: Ten pierścień mi tylko
Dał na pamiątkę, zatrzymał się chwilką
Rzekł, już kołacząc do furty: Mów śmiało:
Co się na łowach moich tobie stało —
Jam Wojciech Krempa! rzeknij matce świętej
Ród mój i imię — i — pamiętaj o mnie!!!
A jam odrzekła: rycerzu zaklęty!

Ciebie i w grobie Stasia nie zapomnie!! . .
„Krempa! . .“ zawoła wraz xieni z radością
Wojciech! mój Boże! jakie sądy twoje!
Że się tych dzieci, w takiej chwili dwoje
Zeszło! . . on życie twoje swą dzielnością
Zbawił! . . mój Wojtuś! syn Krempy dzielnego
Co męczennikiem był Tatarskich szponów!*)
Z skóry go w ogniu odarli żywego! . . .
Boże mój! . . dotąd słyszę odgłos dzwonów
Trzask domów co się walą wśród płomieni! . .
Już Wisła cała we krwi się rumieni
I zda się wtóry obraz dnia sądnego
O słuchaj dziewczę! . . przebaczam dziś tobie!
Kiedy ocalił cię Bóg tak cudownie
A za pokutę posłuchasz w żałobie
Przeszłości strasznej, co zapali głównie
Nad głową twoją! . . przy ich blasku świętym
Ujrzysz jak twoi marli tu ojcowie
Jak za Ojczyznę nieśli krew' i zdrowie
Jak z wrogiem wiary walczyli przeklętym! . .
Krempa!! o zacne dziecko swego rodu
Godne! wszak siostra Kadlubka mu była
Matką! . co zemną w dzieciństwie bawiła —
I czy uwierzysz? ot, powiem ci gładko
Że choć go nieznam — jam mu chrzestną matką!
Druchny méj syna trzymałam za młodu!
Lecz teraz słuchaj o dniach moru, głodu,
Ale zważ! . . dotąd dzieckiem tylko byłaś,
Od téj powieści gdy dójde ostatek
Zapomniej puste chwile co przeżyłaś
To przykazuje tobie — xieni matka! . . .

*) Historyczne.

VII.

Kiedy na wielkiem łożu król Bolesław konał
Pięciu synów klęczało w niemém rozżaleniu,
I kaźden obietnicy pod grozą dokonał
Że w miłości braterskiej, i zgodzie, zleceniu
Jego wierni zostaną — i rzekł: Temu biada!
Ktoby ojcu pośmiertnej wiary nieochował,
Błogosławieństwo moje na zawsze postrada
Żle mu będzie, choćby nad światem zakrólował —
Głośno łkając, Władysław rękę ojca imał
Dalej milcząc Mieczysław na jedném kolanie
Kląkł ponury, i siostry dwie za ręce trzymał
Henryk Brodacz spokojny zdał się, bo w zaranie
Jasne, dni swych przeczuwał cicho że niebawem
Złączy się z drogim ojcem, i pragnął nie wiele
Jakby czuł że na polu koniec jego, krwawem —
A dalej, kędzierzawy Bolesław nieśmieie
I chytrze patrzył w ziemię, a jednak rozżalon.
Lecz nad wszystkich rozbolał Kaźmierz, chłopię młode,
Przy łożu, na niedzwiedzią skórę legł powalon,
I głośno płakał . . . twarzy anielską urodę
W złotych włosów kędziory, ukrył, łzami złane
I do nóg ojca garnął się tak miłościwie
Ze Bolesław wzniosł oczy gasnące . . . zorane
Czoło tarł na główce mu złożył dłoń życzliwie
A błogosławiąc syna oddał Salomei —
I rzekł dajcie mi miecz mój! . ty Żurawiu stary
Coś mi życie ocalił, podaj go, w nadziei,
Że Bogu i krajowi dochowają wiary! . . .
Czterdzieści bitw miecz ten pomnie! sędzio świata! . .
Wszak niemogłem go dzwigać w pierwszej wojnie krwawej
Kiedy miałem lat dziewięć! . . szybko biegły lata
Czterdzieści bitw! . . a jednak ostatnie są łzawej
Pamięci! bo pomnijcie! . . że piorun me ramię
Dotknął, że tu Zbigniewa brata pokrzywdziłem
Biada! jeżeli mi który obietnicę złamie! . . .

Przeklęty Sieciech! radą jego niewzgardziłem!
Pamiętajcie że rada zła, to oczynienie!
Od którego tu głuchnie w człowieku — sumienie! .
Daję wam państwo moje, Słowian obyczajem
Syny me! drogie syny! dzielę jak przystało,
Władysławie! ty Szląskim opiekuj się krajem
I najstarszy, dzierz Kraków a imaj go z chwałą! . .
Bo pomnij że ten orzeł nad śnieg Tatrów biały
Co strzeże bram Krakowa, i że każda plama
Którą by losy, pióra te pokalać miały
Krwia się tylko zmyć może! . to chciwości tama! .
Tobie zaś Bolesławie nadaję Kujawy
I Mazowsza szerokie równiny nad Wisłą
Strzeż tych kraju jelitów! bądź śmiały i prawy
A głowy nieuchylaj, choćby gromem błysło! . .
Gdybyś kiedy przed wrogiem karku ugiął kornie
Obyś boso, jak Dawid, to odpokutował! . . .
Ty zaś mój Mieczysławie, zwykłeś się upornie
Waśnić z bracią, chłopięciem jeszcze niedorosłem,
O Ciebie zbyt się lękam! na ten miecz królewski
Zaklinam! zabądź zwady, cichem kieruj wiosłem
A łódź twoja zawinie, w pewny port niebieski!
Daję Ci Wielkopolski łany, lasy, knieje,
Zamki, wojsko i skarbiec z mojemi klejnoty,
Dajęć także Pomorze! krwawe jego dzieje!
Twarde w pysku! i skore wracać do ciemnoty —
Lecz jeśli je ugłaskasz, na brzegach bursztynu
Sławnym zasidziesz Panem, nad lądy i morza,
Jam ich gromił za nadto! . bądź łagodnym synu!
A z bracią pomnij, żeś jest królewskiego łoża! —
Ty Henryku mój eichy, weź to Sandomierskie
Co jest spichrzem ojczyzny! przy niem weź Lubelskie
I idź twardo na boje, co kochasz, rycerskie,
A chowaj z sąsiadami związki przyjacielskie —
Bo po Bożej miłości, miłość ludzka pierwsza
Ta nam wierna do grobu, nad grobem najszczęrsza
Tobie miecz mój daruję! niech Ci wiernie służy
Niechaj broni ojczyzny — pomagaj nim braci,

Jeżeli który pod siłą wroga, ducha straci! . . .
I o starym Żurawiu co tam czoło chmurzy
Pomnij! . . . jako o mieczu! . . . on wam uratował
Króla i ojca w bitwie! . . . tu za głowę ścisnął
Sędziwego brodacza, co twarz w dłonie chował
I ryczał z zbyt wielkiego żalu, i zawisnął
U stóp króla! . . . i przykrył mu wyzięble nogi
Skórą z łosia — jak ongi! . . . w bojach, gdy nocował
W dzikim polu! . . . król westchnął: o Żurawiu drogi
Obaczmy się niedługo, i będzie ucztował
Król z chłopem u Pańskiego stołu,

Wraz pospołu! . . .

A cóż tobie Kaźmierzu, dam? jużem ubogi!
Matka na mnie pogląda wzrokiem niespokojnym,
Biskupi i panowie mruczą w głos złowrogi,
Co Ci dam! w sprawiedliwość pamiętaj być zbrojnym! . .
A Kaźmierz się na łożo ojca rzucił z łkaniem
Nic nie chcę! twego życia! ojcze! śmierci z tobą,
Na grób twój leżeć pójdę! z dozgonną żałobą! . . .
Nic nie chcę! sługą braci będę twojém zdaniem
Nie dla berła, ni skarbów ojcze Cię kochałem!
Żyj! a boso za Ciebie pojde w świętą ziemię!
Święty Idzi! . . . król krzyknął, i z radości szaleł
Zdjął z szyi obraz ojca — i rzekł twoje plemię
Błogosławie najwięcej! i ród twój daleki!
Ten obraz tobie daję, com nosił na szyi,
Wam dobra! boście dzielnie nad wszystko pragnęli,
Tobie miłość największą! . . . Widzę już łeb żmiji,
Co się z pod mego łoża czai i weseli
Że kraj cały w zawiści i kłutniach rozdzieli,
Kłęski, mordy i ognie, i wrogów łupiestwa
Gruzy zamków i chatek, i niewieście swary,
Biada! widzę i króle bose bez królestwa
Sieroctwo — a i rody bez rodowej wiary! . . .
Lecz mój luby Kaźmierzu! Salomeo moja,
Kędy jest cztery koła tam i wasąg w górze,
Ty woźnicą się staniesz, sprawiedliwość twoja,
I tym wozem po żmij przejedziesz, co stroże,

Królestwa, puszcza w serce narodu zszarpane!
I wóz ten kieruj naprzód, i bądź sprawiedliwy
A w chwale utworzysz drogi już wybrane! . . .
A kto prawdy taranem, wielki — i szczęśliwy! . . .
Wszyscy milczą, bo straszna a wielka godzina
Gdy ojca traci w koło płacząca rodzina
„Mój przezacny Marcynie!“ na Gallusa skinął,
Coś mi jak wierny kogut piał dziejową dobę,
Zapisz to w twoje księgi, by ten dzień nie zginął
Czuwaj nad dziećmi . . . ulżyj królowej żalobę — —
A pozdrów mi Kadłubka . . . niech tam westchnie za mnie,
I dawnych uraz, obaj zapomnijcie dla mnie! . . .
I Gallus rozrzewniony, bardzo się frasował
Każde słowo królewskie ważył i notował
W tém nad głową Kaźmierza podniósł król ramiona,
Wzniósł oczy, krzyknął: Polsko! . . .
I jęknął, Zbigniewie! . . .
W pierś uderzył się głośno, i syna do łona
Przykuł — i skonał — — —

W muiszym już komnata śpiewie
Grobem zda się! Płock płacze, leci wieść złowroga
Uderza w każde serce od proga do proga,
Wróg odetchnął i jeszcze o nieszczęściach nie wie,
A już smutny kraj cały — Niemiec wilcze zęby
Ostrzy, Kaszub, Pomorczyk, Węgier, Tatar w dali,
Od łoża królewskiego już bracia powstali
Ale rąk do braterskiej zgody nie podali, —
Wróg ostrzy topór, śledząc lasów naszych wręby

VIII.

To mi rzekła ma babka, wdowa Salomea,
Przy której się chowałam, nim zmarła w starości
Com ci rzekła, zachowaj pamięcią młodości
Bo podanie lat starych, młodość przyodziewa . . .

Znasz, moje dziecko, i zwady i zdrady
Co przez Niemieckie przypelzły sąsiady,
I wszystkich braci oplakane dzieje
Upokorzenia i krwawe koleje —
I gdyby nie to gorąco serdeczne
Co nasze piersi grzało ogniem z nieba,
Popadlibyśmy w niepamięci wieczne,
Bez państwa, kraju, ojczyzny i chleba —
Snać — lud nasz bywał tu potrzebnym ludem,
I pożytecznym — bo się ostał — cudem!
Z waśni, niezgody, Niemcy i Mongoły
Miód biały — Polskie mordowały pszczoły . . .
Zaledwo pierwsza wieku mego wiosna
Błądą jutrzeńką życia zapłonęła,
Pomnę dni lepsze! wesoła, radośna,
Jedność się w Państwie nanowo poczęła . . .
Przycichł Mieczysław stary, wróg braterski
Król Kazimierz zjazdu w Łęczycy dokonał
Wysiekł Jadźwingi i Prusy pokonał
I szczęśliw spoczął w ziemi Sandomierskiej —
Pomnę tę ucztę przy której król siedział
Ja na kolanach bawiłam się matki
Goście mi dziecku, podawali kwiatki
Pomnę ostatnie słowa co powiedział —
Król ojciec wstawszy z puhaem szumiącym
Pił za duchownych zdrowie, dziękcył Bogu,
Za swe zwycięztwa, za kraj co kwitnącym
Wypił — wstał — zadrżał — powalił się w progu
I drąc na piersi złotolite szaty
Krzyknął okropnym głosem: Ja otruty! . . .
Zbiegły się Pany, biskupy, magnaty
Król był umarły, kraj z Pana wyzuty —
Matce na szyję padłam: martwa była
I wyniesioną z biesiadnej komnaty
Napróznom długim uściskiem cucila!
Kto zbrodnię zdziałał, nie na téj już ziemi
Sądzony będzie, i rzućmy zasłonę
Niech to noc skrzydły pokryje sowiemi! . .

Matce cierniową zostawił koronę.
Król Kazmierz, stary Mieczysław téj chwili
Zerwał się, jakby tylko czekał hasła,
Zewsząd się wrogi na Państwo rzucili
Aby najazdy zażegnać, zagasła
Nadzieja wszelka! biedna moja matka
Z dziećmi samotna, została jak w łodzi,
Którą burzliwy wiatr po morzu wodzi,
I podupadła w smutkach do ostatka —
Gdy syn najstarszy, Bolko ukąszony
Od żmiji umarł. A król Leszek biały
Pięć lat miał wtedy, zaś Konradek mały
Przy piersi matki niemowlęciem bywał —
W modrzewim dworze, z Krakowa wygnana
Mieszkała matka, wyplakując oczy,
Stary Goworek piosenki nam śpiewał
I cieszył mówiąc że nasza wygrana —
Że chwała niebios tron Piasta otoczy!
Stał Biskup Pelka po królowej stronie
On Mikołaja przemógł wojewodę
Że przysiągł wierność ku wdowy obronie
Matka wspomniawszy na swe lata młode
Jęła ślać posły na Ruś, i Romana
Hufce przybyły, pod Goworka wodzą
Bitwa zawrzała, strasznie wspomniana
Kędy brat z bratem w spólnie na się godzą,
I pól Mozgawy, krwawe dzieją błonia
O dniu straszliwym! nasi zwyciężyli,
Mieczysław zbity, ranny, dopadł konia
I uszedł z synem — wraz go opuścili
Szlązacy dotąd wierni jego sprawie —
I złamał ducha, w on dzień przy Mozgawie,
Bo choć poburzył wszystkie krewne Pany,
Choć się pokumał z wrogi Pomorzany,
Choć wszędzie związki miał, i skarbiec znany,
Jednak zmarł w krótkce, i osierocony
Syn żył nie długo. Jednak gorzkie lata
Czekały matkę, bo zawiści w kraju

Złość, w Wojewodzie, skryta Mikołaju
Co Mieczysława wzmocnił, a nas zdradził
Co na bratanka ciągle judził brata,
Truła jój żywot — wreszcie się powadził
Z starym, a mężnym Goworkiem u dworu
Że się Goworek usunął w kraj cudzy,
Długo płakali, Pani, dzieci, słudzy,
Kiedy Goworek, żegnał nas sędziwy —
W rok potém, matce padłam frasobliwój
Do stóp, błagając by mi do klasztoru
Wejść nie bronila —

Młodość moja była

Jednym sieroctwa uśmiechniętym bólem!..
Nic smutniejszego kiedy ból uśmiechu
Maskę przybiera... strzeże łez jak grzechu...
A skoro Leszek zapanował królem
I mógł królowę, co troska schyliła
Podjąć-na zamku, więc tyłkom prosiła
By mi ten klasztor dali wznieść śród boru
I osiąść z Bogiem w téj ciszy klasztoru —
Długo mi matka bronila, i łzami
Zalać mi chciała tę drogę zakonną,
Aż w pomoc przybył mi mąż, nad mężami
Co błogosławion był, cnotą ustronną —
Był to Wincenty Kadłubek, w koronie
Z rozumu, cnoty, ubóstwa, jałmużny
Znany, a matce wierny i usłużny —
On Leszka córę Salomeę młodą
Na Halicz ongi odprowadzał dworno,
Nieszczęsną z xięciem zaręczył z jój szkoda,
A potém zamknął się z ciszą klasztorną,
Dał xięgę dziejów, w której oplakiwał
Króla, którego sprawiedliwość śpiewał —
Nigdy pochlebca niebywał u dworu
Jak zgraja innych, co się z Szlązkiem znała,
Jego więc matka moja zapytała
On — mi ułatwił drogę do klasztoru —
I rzekł Kadłubek, w czyjém sercu z rana

Lutnią się boskie ozwie powołanie
Jest to głos święty co woła Hozanna!
I biada temu na wieki się stanie
Ktoby téj lutni stróny tajemnicze
Rwał — wszelkie cele, są wtedy — zbrodnicze!
Za głosem wolnym, niech pójdzie wybrana —
Królowo! azaż nad xiążęta ziemi
Nielepij sobie mieć za zięcia Pana
Co otoczony chóry anielskimi? . . .
A matka rzekła: podług słowa twego
Niech jój się stanie! Bądź oblubienicą
Chrystusa! duszą podnieś się do niego
A módl się za nas — bywaj gołębicą! . . .
I raz ostatni przed matką ukłękła,
I wielka cisza stała się do koła,
Wtedy raz pierwszy klasztorum się zlekła
Gdy się oderwać przyszło dla kościoła
Z tego uścisku méj sędziwój matki! . . .
O tém coś wiedzą — celi mojej kratki!
A więc Kadłubka obraz na téj scianie
Obok Rodziców do końca zostanie —
Wstał gmach — gdy weszłam znikła troska wszelka
Burze, zatargi, i zwady swiatowe,
I odtąd patrzę w niebo Chrystusowe
Bo jego jarzma słodycz bardzo wielka! .
Dał mi pociechę smutny pocieszyciel
W łaski dla duszy méj hojny zbawiciel,
Trzeba być bardzo smutnym by pocieszyć
Czystym — by niepotępić! — a rozgrzeszyć! . . .
I odtąd modlę się za kraj kochany
Niezgodą, waśnią, najazdy szarpany —
Mineły lata, i matka sędziwa
Zmarła trosk syta, a drogiego brata
Do grobu później schyliła mnie strata,
Leszku mój biały! . . ręką Boga mściwa
Niechże Ci będzie w niebie miłościwa,
A co dziś z tobą krajowi ujmuje
Niechaj mu odda, gdy zapotrzebuje!

IX.

Straszny jest obłok co błyskawicami
Zieje, a dęby kruszy piorunami,
Straszniejsza chmura szarańczy rozwiana
Kiedy na pola spada rozsypana,
Lecz najstraszniejsza, Tatarska nawała
Któręj zaledwo wyrówna dzień sądu,
Kiedy powodzią kraj nasz zalewała
Plaga plag! . potwór piekielnego trądu!
Pierzchał lud z trwogą gdy najpierwsze czaty
Tatarskie, konno na szlakach stanęły
Małe ich ślepia urokiem błysnęły
Szatańskie lica, kształt ciała kosmaty
Łuk, miecz, i arkan do brania w niewolę
Co zarzucali na Lackie pacholę . . .
Topor kamienny i plugawe szaty.
Tłumy szatańskie w bezbrzeźnej dzikości
Spragnione, ludzkiej wietrzące posoki,
Okrucieństw chciwe, bez cienia litości,
Od zwierząt dziksze czyniące poskoki —
Dokoła ognisk z wrzaskiem płasające
Na łony miast i siól z weselem dzikiem
Rżące radości rozjuszonej rykiem!
Chmura strzał jasne zaćmiewała słońce! . .
Pod ich kopytem ziemia krwią tryskała,
I długo potem porosnąć niechciała —
I brodzą we krwi której zdroj za niemi*)
Taki że w zdroju tym tonęli ludzie,
Idą przekłęci, różgami bożemi —
Niweczą wszelki trud po życia trudzie!
To są Tatary! przeżegnaj się dziecię
Bo takich dziejów usłyszysz świadectwo,

*) X. Wasylko w Kozielsku we krwi wezbranęj utonął. —

Że odtąd smutno będzie Ci na świecie
Choć rodu twego poczujesz szlachectwo —
W on czas Bolesław Wstydlivy słał do mnie
Bym Kingę wzięła pod opiekę moją,
I z mniszki uszła, w skały co ustronnie
Po nad Pioniny i Dunajec stoją —
Więc do Krakowa, ztamtąd w Tatrów lasy
Uszliśmy razem w najdziksze pieczary
Tylko sokoły znają tamte jary,
I karkołomne, jak kozy, Juchasy —
Pod Kałką znieśli Tatarzy, zebrane
Siły wszech dzielnic — rozlali krwi zdroje
Biegli jak powódź, trupami usłane
Pola za sobą sprawili rumiane —
Najsroźszą z bitew pod Chmielnikiem stoczył
Król, z razu szczęśliw, później chytrze wzięty
Tatarzyn złamał szyki, ręce zboczył
Szedł dalej — prawie cały kraj był wzięty,
I pod Opolem, i aż pod Lignicą
Kości męczeńskie, Piastów do dziś świecą.
Lublin najpierwszy padł pastwą płomieni,
Mieszkańcy uszli, albo wytopieni,
I pod Sandomierz przyszli hurmą całą
Taką straszliwą lecieli nawałą
Że bojów sroźszych, Polska nie pamięta
Odkąd w niej wiara zamieszkała święta!
Od wtórej strony Roman wiarołomny
Szedł, od Halicza, na swą krew niepomny
Wpadli — i długo pod miastem walczyli
Długo nad Wisłą wszystko pustoszyli
Pod Zawichostem wzięli łup ogromny
A Sandomierza jednak niezdobyli,
Wysłali posła od samego Hana
Że chcą o spokój z miastem się ułożyć
Lecz nazbyt była dzicz Tatarska znana,
I każdy począł się już życiem drożyć,
Wtedy wstał Krempa, sędziwy mąż, w całym
Miście otoczony szacunkiem nie małym,

Zasłużon wszystkim, zacnego imienia
Poważny, mądry, niemałego mienia,
Rzekł pójdę, w ślepie zajrzę Tatarowi
A jeżeli zginę o bracia! pomnijcie!
Niech każdy za mnie dwa Zdrowaś odmówi
Synaczka Krempe w swój opiece miejcie —!
Poszedł z posłami, co go między siebie
Wzięli, i konno znikli w dymu chmurze,
Przez zgliszcza, węgle płonące, kałuże
Krwi, polecili w tój strasznój potrzebie —
Chcieli by wydał miasto, skarby, bramy,
A Krempa tylko uczynił znak krzyża,
I kręcił głową: rzekł miasta niedamy!
Jeżeli weźmiecie, zginiemy w płomieniach!
Wtedy siepacze na ogniu go kładli,
Skurę złupili, skonał w udręczeniach!*)
A głowę jego mieszczanie wybladli
Ujrzeni za mur miasta podrzuconą
I noc się taką zakrwawiła łoną
I takie wrzasków i pisków odgłosy
Jęki i wycia, rżenia zewsząd piały
Że się ścisnęły tchy w piersi, niebiosy
Dżdżem strasznym na trzy dni się rozplakały,
I wszystkie dzwony Sandomierza grały —
Co żyło, broniąc murów upadało
Co raz się biodro starój baszty chwiało,
Wreszcie runęła — przywaliła wroga
Co jak zmiażdżone robactwo syczące
Konało — inni lecieli w płonące
Domy, znaleźli kędy w miasto droga,
Straszną ta pamięć, aż do świata końca!
Dokąd rumienić się będzie twarz słońca
Nieujrzy krwawszych pożóg nad te dzieje
O! Sandomierza nieszęsne koleje!
Spytaj tych kości! gruzów i popiołów
W ogniach tonące, zawodzące matki,

*) Kromer. Bielski i t. d.

Co w dym rzucone, próżno wyrwać dziatki
Chcą, oderwane przemocą od łona!
Którym gruchoczą o mur czaszki małe
Krzyk dziewic, domów trzask, i niebios łona
Jako twarz Boga na sąd zrumieniona!
I krwawą Wisłę! co nurty skostniałe
Lodem zawarła! dzień, noc, mordowali
Czterdziestu mnichów w modlitwie zrąbali
I Koprzywnickich xięży w pień wycięli,
Wysiekli mniszki, klasztor, skarby wzięli,
Wreszcie niemogąc wszystkich wymordować
Do Wisły jęli strącać i ładować*)
Uszyma trupów wozy, i pokryli
Niemi do pełna dziewięć ciężkich wozów
I w jasyr nasze dziewice, powrozów
Związane węzem, naprzód popędzili —
Lecą, i gnają, wyją wilków stadem,
Dymi Sandomierz, nie! gruz Sandomierza,
Już sposoczeni w koło ognisk tańczą
I dalej lecą rozwianą szarzańczą
Kędy San Wisły cichaczem domierza —
Rok minął odtąd, król w Węgrzech tułaczem,
Odkąd lud biedny wył o pomstę płaczem,
Aż się raz zjawił Bolko w Pienin skałach,
I głośny lament mniszek się rozlegał,
Czerwony klasztor żegnał nas na wałach,
Płynęły tratwy, a Kraków wylegał
Na przywitanie, po groźnych opałach
Kraków stał pusty, czarny, wyludniony,
Głód, mór i ogień jak za dni Sodomy,
A tylko Klasztor świętego Jędrzeja
Do końca mężnie wrogom czoło stawiał,
On kraj zasłaniał, i w świecie się wstawił
Z niego promieniem szła na kraj nadzieja!
Z kwiatem rycerstwa dwaj wojewodowie
Krakowski, razem poległ z Sandomierskim,

*) Historyczne.

Klimunt, i Jakób wraz kasztelanowie
Gardło téż dali, z narodem rycerskim!
Wojciech ze Stampczyc, Mikołaj z Witowic,
Ziemięta, przy nim i stary Grabina,
Ach! i twój ojciec ze Sulisławowic
Dzielny Sulisław rej przed niemi trzyma,
Wszystko to świętych męczenników kości! . .
Co ziemię naszą, relikwią świętości
Czynią, i żyzną we wszelakie cnoty
Że niebieskimi iście Polska wroty,
A jój tu dzieje, to dzieje Golgaty! . .
I pono z ludu łez ta sól powstała
Co się w Wieliczki głębiach pokazała —
Kiedy już Kinga na zamek wróciła
Nie długie lata na nim zabawiała,
Jój to posagiem, jój klejnotów mieniem
Kraj się tu bronił, król żołdy wypłacał,
A jój cnotami kraj się téż zbogacał
I wspomianana była z uwielbieniem
Kiedy po śmierci króla, w Sącza górach
W klasztorze żyła i w Anielskich chórach
Ukołysana usnęła! jam Wisłą
Spławną wróciła w Sandomierza mury,
Boże! ten widok! był to grób ponury,
I tysiąc oczów łzami ku mnie błysło!
I gruz klasztoru dźwignąć trzeba było,
Lecz już obronnie, jak twierdzę, wznosiło
Się wał, i klasztor, i kościół powoli
I tak gród znówu wzrósł z nad krwawój roli! . .
O biedne dziecię; tyś nawet nieznała
Rodziców własnych! . . byłaś niemowlęciem
Gdym po powrocie mym, ciebie przybrała,
Lecz dobrém zawsze bywałaś dziecięciem . . .

* * *

Oto już ósmy krzyżyk dziś poczynam
I wzrok mój gaśnie . . . i pamięć wątłeje,

Kościom do grobu tęskno, a nadzieję
Duszy mój, niebios łaknącej, wspominam
Co dzień przed Panem, dokąd jego wola;
Niechaj cielesna cięży mi niedola
Lecz mi czas spocząć wszakci w tój koronie
Czwartego króla pamiętam na tronie . . .
Lecz w krótkce przyjdzie ostatnia godzina,
W której się skończy cokolwiek poczyna,
A w której pocznie się co się nie kończy
Gdy z duchy ojców duch mój się połączy . . .
Tobie, me dziecię, sierocie bez mienia,
Ostatniej z rodu, pobożnej i prawej
Znaczy tam w myśli klasztorne sklepienia
Gdzie święta cisza, i karne ustawy —
I kiedyś —, jeżeli odbierzesz święcenia
Możesz na mojem miejscu stać na czele,
Tego sióstr cichych w Panu zgromadzenia
Mój jasny cichy, sierocy aniele!
Tu biedna Stasia marmurem pobladła,
Milczała chwilę niedługą — i z krzykiem
Jako podcięte drzewo matce padła
Do nóg . . . by mówić o czém dotąd z nikim
Mówić nieśmiała . . . Wreszcie, rzekła drżąca
Matko, twa wola i twe prawa święte,
Bez Ciebie wszelkie drogi mi przeklęte,
Lecz jak przed Bogiem spowiedź ta gorąca!
Świadczę się tobie że ten rycerz w borze
Rzekł, że bezemnie więcej żyć niemoże,
Że, choćby klasztor przyszło mu szturmować
Chce mnie poślubić . . . choć krwi nieżałować!
I wyznam tobie, że mi w tym klasztorze
Nieraz już straszno, i że nieraz nocą
Gorzko płakałam, czuję mą sierocą
Dolę . . . O! czuję że ja matki niémam
Mnie tak żal za nim! . . .

Ja tu — niewytrzymam!!!

Dość! Xieni na to — uoczyście wstała,
I groźnie rzekła: otrzymasz coś chciała,

Snać inna całe była Boża wola —
Wojciech twój —! dawno za nim się wstawiano
Do mnie i listy za listem pisano,
Niechżeć światowa będzie słodka dola —
Niemiałam dzieci, dziećmi rozporządzać
Się nieodważę! i masz prawo żądać
Losu twojego według własnej woli
(Choć mnie samotna starość nieco boli —!) . .
Jeszcze za życia mego was połączę
Wezwę Wojciecha, jutro do mej kraty
Tobie xiążęce dawne moje szaty
Część mego mienia daję — i zakończę
Szczęśliwa, twojém tu uszczęśliwieniem!
Teraz mnie zostaw samą moje dziecię
Błagać chcę Pana, z matki uniesieniem
By Ci uśmiechem przeszło całe życie! — —
I głośno łkając, wyszła Stasia z celi
Przed matką Boską padła w łzach zalana
Serce jój cięży, to znów się weseli
To znów za xienią żal, jak młyński kamień
Ciśnie pierś biedną . . . i woła do Pana!
Rodziców duchy! o! stróże anieli! . . . — —
— Z za blizkiej kraty głos jój dobrze znany
Dziko, ponuro wołał: „pierścień zamień! . .“
Nosilaś go już długo, oto drugi —
Weź go na rękę, Pani, dziś od sługi! . . .
Zbyt długie noce pod temi murami
Trawię nieszczęsny! miałaś błagać xieni!
Jeźlim niemiły — to z mniszki zimnemi
Zostań! mnie w boje czas, za Tatarami!
Lub mi uściele Wisła zimne łoże
Dłużćj ma wola walczyć już — niemoże . . .
Zadrżała Stasia — za kratą kościoła
Stał Wojciech w stali, ale tak zmieniony
Że tylko sercem znowu, poznać zdoła
Tego co życie — ocalił straconej . . .
Był jak trup blady, długa broda czarna
Na pierś spadała — wzrok w oblicze śniade

Zapadł i jęj twarz była tak ofiarna
Jako Westalki, co przy ogniu siada
Niemo podała mu pierścień przez kratę
I drugi w zamian wzięła od rycerza,
On do ust tulił jęj bieluchną szatę!
I ręce złożył jakby do pacierza . . .
Patrzac w nią niemo . . . długa chwila była — — —!
Jego zapadła twarz jaśniała sniada
Zęby błyszczały po pod wargą bladą
Co uśmiechnięta pyta: niewierzyła !
Szepnęła Stasia xieni zezwoliła!
I sama z tobą będzie wnet mówiła —
Bo ja bez ciebie dłużej żyć niemogę
Chociaż za matką czuję żal i trwogę
Z tobą bym zaraz tutaj umrzeć chciała
Byle ma dusza z tobą uleciała,
Bo ja Cię — kocham!!!“

Runął na kolana —

I krzyk radości rozdarł pierś młodziana
Krzyk z piersi ludzkiej lecący do Pana
Co gromem szczęścią kończy się — lub skonem!..
I znikła Stasia, jak nikną anieli
On krzyknął zostań!! i z rozdartém łonem
Tęsknie do kraty przypadł pordzewiałej
Jeszcze mu rączką skinęła i w bieli
Niknie . . . Na chwilę tę wieki czekałem!
O! zostań jeszcze! jam biedny! zbyt śmiały!
Za jedną chwilę dam życie! kochałem
Cię serca mego żądź bezbrzeżnych szalem!!!
Na ten głos Stasia wraca oczyniona,
W ogień by na ten głos drżący leciała! . .
Staje u kraty . . . ręce mu podała
Na czole drogiém składa je natchniona
Wzrok jego tonie . . . prawie pół zemdlona,
Głowy ich chylą się obie do kraty
Przez kratę usta z sobą się spotkały
Jako dwie arfy przy sobie zadrżały
W których się chwilą — całych potęg światy

Ozwały! całe rozstąpiły nieba . . .
I tylko umrzeć! . . . tak by im potrzeba . . .
W tém ptak zabrzączał po szybie kościelnej —
I znikła Stasia cienie zapadały,
On tęsknie przypadł, do kraty zrdzewiałej
Czoło płonące przytknął, zamknął oczy
Już za nią ginął w tęsknocie piekielnej,
Stał jako posąg, aż go noc otoczy . . .
Całował kratę której się dotknęła
Lawina uczuć na serce runęła!
Wreszcie się zerwał, i klasztornym dzwonem
Obudzon powstał i był oniemiały . . .
Wyleciał z piersią pełną, wysłać gońce
Do druhów . . . krewnych szalał aż łza błysła!
Jakże mu cudnie zachodziło słońce
Jak cudne gwiazdy na niebios lazurze,
I w purpurowej łonie śródbrna Wisła! . .
Jak gdzieś przepadły na dnie serca burze,
Nito Eumenid uspienie godzinne,
Zda się że chwile wróciły dziecinne! .
Łysnęło — w dali zagrzmiały niebiosa,
Pieśnią słowiczą — drży wieczorna rosa . . .
Śmiał się! potokiem łez się nagle zalał
Chodził nad Wisłą — i z radości — szalał!!!

X.

Ranek — we kwiaty i sosnowe drzewa
Strojna raz pierwszy, xieni cela groźna
A pod klasztorem trąbka się oboźna
Ozywa . . . swadźba druhów rada śpiéwa
I na niedźwiedziej skórce Stasia siadła,
A sama xieni z miłością jój kładła
Wianuszek z mirtu i ruty pleciony,
Cały korytarz kwiatem potrząśniony
Aż do kościoła — ołtarz oświecony . . .

Pół Sandomierza wyległo jak pszczoła
Garną się wszyscy w około kościoła
I błogosławią — bo obydwą rody
Za kraj Wiślane zrumieniły wody
W zbroi, z bijącym sercem stał Pan młody
I u ołtarza już czekał z obawą . . .
Xieni upięła wianek z twarzą łzawą
Gdy klęka Stasia, ręce jój złożyła
Drżące, na głowę — i błogosławiła
Niemo, przed króla Kaźmierza obrazem,
Stanęły chórem mniszki u drzwi celi
I zanuciły weselnie tym razem . . .
Jak niepamiętał nikt z założycieli — —
I kwiecistemi schody do kościoła
Idą — i gubią się wśród sklepień białych,
Stasia za xienią stąpa, i dzwon woła
Serce jój bije w podrzutach nieśmiałych . . .
Weszli w kaplicę za ołtarzem wielkim
Co od kościoła kratą oddzielona,
Ostatni raz ją przytula do łona
Matka — Pan młody stał z respektem wszelkim
I otworzyła się olbrzymia krata
Przez którą wyszła Stasia w odmet świata —
Aby drogiego sobie, spotkać — brata —
Jeszcze z za kraty błogosławi xieni
Klękli — rękoma żegna ich drżącemi —
Bądźcie szczęśliwi! . . drogie moje dzieci!
Rosa niebieska niech na serca zleci!
Stasia spójrzała za siebie i zbladła
Już głośnym trzaskiem rdzawa krata spadła,
Pan młody wiedzie, tuląc ją do łona
Klękli przed ołtarz, druchny i druchowie
Wiankiem otoczą — i nito korona
Kościelnem oknem nad dwoma głowami
Zbiegł promień słońca tęczy kolorami . . .
Kapłan ślub daje — i słowo po słowie,
Odpowiadają — i stoją świadkowie —
Ale niewiedzieć czemu wszystkie twarze

Płaczące były! . . . i w ciszy pierścienie
Zamienił kapłan: Rzekł: Boga ołtarze
Świadkiem! i wierni bądźcie nieskończenie
Jak zaczął, w szczęściu niech się żywot kończy —
A co Bóg złączył — tylko śmierć rozłączy! . . .
I wyrzekł „Amen! . . .“ błogosławiąc jeszcze —
W tém krzyk „Tatarzy!“ wstrząsł kościelnym murem,
Tatarski zagon! wszędzie brzmi już chórem
Biada! już idą! już są! . . śmierci dreszcze
Przeszły po wszystkich! . . lecą . . . rozbiegają
Się wszyscy z krzykiem — duszą się — z kościoła
Do domów pędząc wszędy uciekają
Za chwilę — pusto, niemo wśród kościoła . . .
I państwo młodzi, sami pozostają
Niemi — szczęśliwi, głusi na grom trwogi
Jeszcze niemogą pojąć swój niedoli —
Dopiero gdy się ognia dzwon złowrogi
Rozległ — krzyknęli!!

Wojciech rzekł powoli

Idę — bądź zdrowa! dziwnie Bóg nam sądził
Snać bardzom w życiu młodością pobłądził
Mnie miasta bronić! i przysięgam Bogu
Krew mego ojca, zmyć na Hana czole!
Tu kląkł — dłoń podniósł na kościelnym progu —
Stasia jak posąg w zczarowanym kole
Stoi bez głosu — i błędnie pogląda,
I nie nie mówi — ni zatrzymać żąda —!
Wojciech rzekł xieni: do czasu oddaję
Mą lilię tobie! . . zawiń w gronostaje
I pilnuj matko! pilnuj przebóg żywy,
A może wrócę dumny i szczęśliwy! . . .
Wybiegł — odniosły mniszki Pannę młodą
I przebudziły ją — święconą wodą
Odpięły wianek i od szaty róże,
Z których zostały tylko kolce duże!

XI.

Krzyk, wrzask, jęk, hałas, z domów w domy gonią
Trzaskają bramy, i gwiżdżą strzał chmary,
We wszystkie dzwony w Sandomierzu dzwonią
I wrzask Tatary! Tatary! Tatary! . . . ,
Z murów obronnych widać już dymiące
Z krzykiem, w płomieniach rabowane siola,
Tatarski zagon strzały przyémil słońce
I dzwon za dzwonem na gwałt, budzi, woła.
Hufce swe sprawił Krempa, i rycerstwo
Na czole swoim stawia go z otuchą
Jak lew o zemście śniący, patrzył głucho
Na wszelką trwogę, było to bluźnierstwo
Z tém co się w duszy jego działo teraz: —
Pomścić krew ojca! wołał we śnie nieraz
I niewiem, zemsty, czy oblubienicy
Bardziej dziś pragnął rycerz dzielny, śmiały,
Na nim dziś wszystkie serca polegały
Obrona niewiast, dzieci, ha! ojczyzny!
Bo jeżeli Tatar drugi raz zwycięży
Kraj cały padnie, pod Mongoła blizny!
A wróg swe skrzydło nad krajem wyteży . . .

* * *

Dzień za dniem mija, a Tatarzy stoją
Snać nie myśleli że warownym wałem
Na nowo Pany miasta się uzbroją
Snać głodem miasto brać chcą, wściekli szalem
Grożą, Han próżno pędzi ich na mury
Obrona silna, i żywność jest w mieście
Próżno Han krwawe zatapia pazury
W ślepiach iskrzących; śmierć każdej niewieście
Wróży, i strzały wypuszcza chmurami
I dzikie żmije wędzi z roślinami
Co zaprawione zjadliwą trucizną

Powietrze całe przypełnia zgnilizną,
I smocze głowy, dymami ziejące
Wystawia w górze nad hufce walczące; *)
Już się ten fortel szatański nie uda,
Pierzehły Tatarskie czary, i uluda,
Han wściekły, w kilku utarczках pobity —
Już śniegi spadły, i Wisła stanęła,
Głód między niemi, i trwoga ich zdjęła,
Miasto nabrało ducha, mur nabity
Ludem, co ukrop, smołę i kamienie
Tak dzielnie miota, basztą zasłonięty,
Że jak robactwo Tatarzyn przekłęty
Miażdży się w wodnych okopach, i tchnienie
Oddaje . . . Han się przybliżył pod mury
A Wojciech z Baszty tak celnie wymierzył
Że strzała gwizła, powstał krzyk ponury
Han jak lew ryknął — zatoczył się — nie żył! . . .
Jak w falj morza zawrzało śród tłumu,
Mrowiskiem w koło cisną się Tatary
Mur podpalają — niebo z czerwieniało
I od klasztornej strony się mur stary
Poddał — chwiał — runął! . czerń wpadła i ludzi
Miażdży, na klasztor gnają — lecz do miasta
Wstęp, druga, silna zasłaniała baszta
Ta nazbyt mocna i obronna, budzi
Postrach w osłabłych Tatarach, już ryczą
Jak jedno piekło Allahu! i kładą
Ogień pod wielką bramę — ognie syczą
Piętrzą się, bramę obięły, i zdradą
Klasztor zajęty, palić się poczyna,
A w celi Stasia u nóg cichéj xieni
Błaga, by uszła, ganki podziemnymi,
Xieni odrzekła: tu moja jedyna
Życ i umierać ślubowałam Bogu,
Tu mi wziąć palmę na kościelnym progu!
Uszły już siostry, ty uchodź! zostanę . . .

*) Wszystko historyczne.

Może przez śmierć mą będzie ubłagane
Zbawienie grodu — O! uchodź!

— Zostanę —

O! nie tak trudno będę umierała,
Całym się życie na śmierć gotowała
A więc nam razem ginąć matko moja!
Rzekła jej Stasia, ja Cię nieopuszczę!
Tyś mnie chowała — bądź że wola twoja,
Ha! może wzrokiem zabiję tę tłuszcze! . .
Xieni upadła krzyżem w celi białej
I pożegnała ściany swój świetlicy
A potem wyszła do górnej kaplicy,
Co po za chórem, do świątyni całej
Kratą dawała — co raz bliżej brzmiały
Krzyki i wrzaski, już wrzęciadze pękły
Krzyk wzrasta, padły wrota — groby jęły
I w kościół zgraja rozjuszona wali
Pędzi z głowniami, rabuje i pali,
Z ołtarzy złoto kradnie rozbestwiona,
Rąbie obrazy, i gruchoce krzyże
Już na chór pędzi, płomień ściany liże . . .
Stanął na chórze Tatar i jak gromem
Tknięty się wstrzymał —! za kratą klęczała
Z gromnicą w rękę, jak gołąbka biała
Na swym klęczniku, mniszka, z uniesionym
Wzrokiem, w modlitwie widziała niebiosy
Już obojętna na tej ziemi losy —
Przy niej dziewczeczka jak posąg z marmuru
Aniółem stoi — Tatar wrzasnął z chóru,
Pod dwoma ciosy padła rdzawa krata —
Porwał w ramiona brązowe dziewczynę
Chciał zrąbać mniszkę — z dołu trzask dolata
Sufit kaplicy pękł . . . z hukiem w perzynę
Wali się cała z pod spodu podłoga
Od dołu trysł dym, płomienie! w płomieniach
Zapada sufit — i mniszka do Boga
Poszła! — zapadła — z klęcznikiem, gromnicą.
Tatar przelękł uchodzi z dziewicą

Dopadł rumaka, gna przez pola, łany
Leci i leci, jako urragany,
Gwizd strzał, mord ludu, i walka do koła
Przez tłumy sady kary koń mongola,
Naprawdę martwa w pół . . . o pomoc woła —
Dopada Wisły, wplaw leci z zemdloną,
Głowa jój zwiędła, rozplecione włosy
Po fali wleką się — płyną — i głosy
Boju do koła szaleją a płoną
Ognie, dopływa brzegu, pędzi znowu,
Aż do namiotu poległego Hana,
Doleciał, pewien swojego połowu —,
Han nieżył — trupa znaleźli — przegrana!
Od murów pierzcha już zgraja pobita
Allahu! ryczy jak tygrysów stado
Wszystko po drodze palą, trupem kładą
Sandomierz zbawcę w Wojciechu już wita,
Lecz Wojciech niemo na gruzach klasztoru
Stał, nakształt widma zadżumionych moru,
Wzięto go z tamtąd, do baszty niesiono,
Był jak głaz martwy, rękę miał zranioną
Tatarską strzałą, którą chwycił w zęby
Tak, że niewydarł jój nikt — i tak leżał —
Dzień minął, co raz nowe dymu kłęby
Widać, i drugi dzień końca dobieżał. —

XIII.

W tém przybiegł goniec od Tatarskiej hordy
Goniec od Stasi, cudem uwolniony
Upadł z nużenia, i rzekł podwojony
Zastęp od wschodu! nowe niosą mordy
Stasia w jasyrze, żyje, i przezemnie
Wieść wam przesyła, o obrońco grodu,
Chodzi o miasto — o życie narodu! . . .
Rzekła żem brat jój, że ich potajemnie
Wprowadzi w miasto, byle mnie puścili

Wtedy mnie zaraz całego zwolnili
Od Zawichosta lecę krótkie chwile
A Stasia każe Ci powiedzieć tyle:
Pilnujcie piekła!

Bo wrogom przyrzekła
Że tym podziemnym lochem ich wprowadzi,
Skoro weń wejdą — zakopcie nas razem!
Rzekła, a tak się ich połowę zgładzi,
Mnie szczęśna dola! umrzeć umiem rzekła —
Czém by mi życie bez niego tu było
W jasyrze?! lepiej pod Polską mogiłą!
Szczęśnam że zbawię gród, i Polski całość —
Wojciech o ziemię runął i lwia żałość
Ryczała z piersi, po ziemi go wlekła,
Ten mu daj pierścien' mówiła żegnając:
Wierną mu byłam! złączym się niebawem.
Niechże nie zadrży, otchłań zawałając
Mam stał gotową! . . każe! to mu prawem! . .
Jeżeli nie spełni, osłabnie, i zdradzi,
Umrę — ale go znienawidzę w skonie! . .
Wojciech wstał — jak dąb, a w kraju obronie
Szedł słupem wichru co przez puszcze chodzi,
Szedł — i rozdawał, nową broń czeladzi,
Tamtym rozkazy — wiatr mu czoło chłodzi,
Z którego błyszczą pożary piekielne
Przez oczy dzikie . . . ogniste śmiertelne
Dalej, rzekł goniec, gdy się zbliży chmara
Druga co w drodze, w fortel wziąć Tatara!
Muszą przejść Wisłę co nie mocno ścięta
Cicho podrąbać lody w samym środku,
I w paść na zgraję, a tak napadnięta
Zginie — bo męztwa niema tam w zarodku!
Tylko nad słabym pastwić się tu skorzy,
Niechże nad tobą — czuwa palec Boży. —

XIII.

Noc już za adła światła pogaszono
I na dwie części wojsko rozdzielono,
Jedna Tatarów przejścia pilnowała,
Kędy czerń lasem w podziemia wejść miała,
A druga lody Wisły podrąbała
Nieznacznie, potem wśród lasu czuwała.
Minęła północ, cicho wyszli z miasta
W bór idą, Wojciech sam stąpa na czele,
Kaźda się nad nim splakała niewiasta
On cicho, mężnie szedł — jak na wesele!
Nocą żołnierze wyleźli na drzewa
Część druga skryta w oddalonyj kniei,
Czeka na hasło, cichy wiatr powiewa
Trzeszczy las . . . idą! . . . już niema nadzieji!!
Chód co raz bliższy! . . . xiężyc twarzą bladą
Wyjrzał przerażon w ciemnice sosnowe,
W oddali widać idą leśną drogą! . .
Cicho, by w mieście nieostrzedz nikogo,
Z wojska szatany! idą węża zdradą,
Pełznąć, to cichą slizgając się drogą —
Na czele dziewczę stąpa w białej szacie
Wiedzione przez dwu żelaznych Tatarów,
O czyż ją w slubnej nocy niepoznacie?! . .
Jako ojczyzny kochanka, do jarów
Śmiertelnych idzie, gdzie dzieckiem bawiła,
Kędy swą miłość, pierwszą zostawiła,
I myśli: O! patrz Boże na me lata młode! . .
Na miłość mą, i słabość i cześć i urodę! . .
Kto opłacze me wiosny! o niemam nikogo! . . .
A jednak mi za Polskę umierać tak błogo! . .
Choć oblubińcem moim dziś ta otchłań czarna,
A weselem śmierć straszna! . . ale nie ofiarna! . .
A z dębu jako listek, Wojciech drżący

Patrzył, wzniosł w niebo błagalne ramiona
Milczy — i widzi ją . . . nawet do łona
Ostatni raz jój nie wezmie płaczącą . . .
Wzrok wzniosła w górę — przeczuli się wzajem
On rzucił listek co padł szaty krajem
Wzięła do łona skrył się księżyc drżący
I idą — przyszli! . . już w jaskini znikła! . .
Za nią czerń liczna ciągnie, wchodzi węzłem,
Gubi, się, niknie mąż czarny za mężem

— — — — —
A w tém załoga Polska Hurra!! krzykła
Nuż skał bryłami zawala wchód cały,
Toczą się głazy, ziemia, drzewa, skały,
Na reszcie godzi hufiec — w lesie skryty
Tępi jak piorun nieprzygotowanych,
Długo w ciemności jęki mordowanych,
I szamotanie słyhać i dziryty,
I głuche miecze — tak się szamotały
W ciemności tłumy. Tatarów skowity
Słyhać — już trupem lasy się zasłaly . . .
Reszta pierzechając dognana, wycięta
Oddaje się w niewolę przełęknięta
Otwór zawalon skałą i trupami! . .
Sypią! ślad nawet skały zawalają
Tylko z pod ziemi głosy za głosami
Głucho, jak z piekieł głębi skowytają! .
Wreszcie ucisza się wszystko nad ranem
I tylko jeden cichy głos niewieści
Co przez Wojciecha został rozpoznany
Przeczutym raczej! . duchem dosłyszany! . .
Krzyknął — jak stróna pęknięta! . . w boleści
On krzyżowego miecza — rękojeści
Chwycił się modląc, do duszy anioła
Co czuł że jego dotyka już czoła . . .
I krew milczący otarł z swego miecza,
I słońce wschodzi, lecz w jego oblicza
Wyraz, nikt spojrzeć nie śmie — —

sprawił szyki

Już na Sandomierz pędzą wojownicy,
Widny już tuman, wioska pograniczna
Płonie, i nowa zgraja szybko pędzi,
Z pomocą ciągnie ludność okoliczna
A Tatar dymem zezarowanym swędzi
Lecą — nad Wisłą stają lód próbują
Ufni, że pierwsi już z jaskiń dojmują
Miastu, przez Wisłę biegną rozjuszonym
Tłumem, przechodzą, już nasi przyjmują
Ich na wybrzeżu napadem szalonym . . .
W tém trzasnął gromem, lód co przerąbany . .
Wrzask, toną z końmi, i taborem przodem,
Już tylko głowy odrzynane lodem
Chrypiąco wyją ranione strzałami —
Hufiec na brzegu jednym oddzielony
Pierzchać poczyna, pada hufiec drugi
Na drugim brzegu, wojskiem wysieczony,
I krwi do Wisły popłynęły strugi
Wróg pierzcha — Wojciech pada na kolana
O bracia woła! Sandomierz zbawiony
Jedno go dziewczę zbawiło — Hozanna!
I wschodzi słońce, z krami trupy płyną
I grają wszystkie dzwony Sandomierza.
A na ramionach szczęśliwą godziną
Wojciecha niesie lud, ponad wybrzeża
Miasto go wita! . . płacze pamięć Stasi,
I zewsząd radość, krzyki: górą nasi!
On padł na gruzy klasztoru dymiące
A potem miecz swój i zbroję w kościele
Zawiesił — mnicha szaty wziął, nie wiele
Słów rzekł, pożegnał swe druchy płaczące
I odtąd czasem postać tę widziano
Od stóp do głowy w czarny kir odzianą
Na baszcie, kiedy zachodziło słońce
Za utopionych, gdy w dzwon uderzano
Choć żywy, zmarły był, i pogrzebiony
I niemy zawsze, jak lutnia bez stróny
A tylko pomnik kazał kuć dla xieni

Co klęcząc spadła w tę otchłań płomieni,
Stasi pomnika nie dał — bo wykował
Go w sercu dla niej — i wgłębi przechował.
Dziś pomnik Stasi, to ta dzika skała
I wieść ludowa co go przechowała
I klasztor z nowu dzwigli Odrowąże
I tam osiedli na świętej dziedzinie,
I któż tych dziejów węzeł tu rozwiąże . . .
Grom co go przetnie w chmurach śpi daleko!
A Wisła wieki i płynie i płynie
Tymczasem lata po latach się wleką
A rolnik śpiewa w pradziadowym śpiewie
O cudnej, świętej Sandomierskiej dziewie
Co się z Tatary razem zakopala
I ocaliła — choć nie ocalała! . .

XIV.

I toczy Wisła swoje modre fale,
I znikły oczom ludzkim te pieczary,
A lud zawiesił tam krwi swój korale
I cześć im święci, pełen podań wiary —
Dziecię méj pieśni! żegnam cię na wieki!
Z lubym, na złotym obloku płyn senna,
Wśród lilij wonnych . . . arf anielskich lekki
Odgłos niech niesie cię wiecznie promienna! . . .
W jego obieciu wśród chorów świetlanych
Z gwiazd do gwiazd! ze słońce na słońca wybranych!
Bądź zdrowa! . . chociaż nikt nie wie mgłą tajemną
Cień twój mi wierny, pozostanie ze mną
I wróci kiedyś! i natchnie mą lutnię
Kiedy Cię zaknę wśród mych duchów smutnie! . .
Wtedy się unieś biała z twój mogiły
I kiedyś powróć! gdy mi braknie siły . . .

I pękła stróna życia w piersi żywój
Pęknij na lutni stróno moja złota
Cześć wieczna grobom! a orła tęsknota
Niech orle loty słońcem uszczęśliwi! . .
Niech tonie w Wiśle resztę złotych tonów
Więcej tu nigdy, nigdy niepowrócę,
Resztę harmonia niech podzwonnych dzwonów
Dogra po tobie o Wisło się smucę! . .
Niech nocny piorun, i burza co borem
Wędruje . . . resztę, dzikim rozhoworem
Dogrzmi i skończy! . . bo pieśń powie tyle —
Co szum samotnej sosny na mogile . . .

* * *

Kiedy ci życie przejdzie prawdzie wierne,
Gwiazdę coś kochał, odnajdziesz nanowo,
I światem całym jest serce pancerne
Harmonją niebios nieujętą w słowo! . .
Kurhan mu w wielkiej ojezyźnie zostanie
I krzyż na kurhanie . . .
A na tym krzyżu arfa zawieszona
O wschodzie słońca pobudzi orlęta!

Przypisy.

a. Katastrofa będąca przedmiotem naszej powieści przypada w epoce ostatniego na Sandomierz napadu Tatarów. Z pewnością według kronik wnosić można że ten przypada na r. 1287.

b. Podanie o dziewczęciu z Sandomierza słyszałem w samym Sandomierzu, obok wielu czcigodnych pamiątek, wskazano mi wąwóz niedaleko miasta zasypany zupełnie, kędy wedle ustnego podania miał istnieć korytarz który pochłoniął Tatarów i ich ofiarę.

c. W kościele Dominikanów wzniesionym po pożarze przez Odrowążów jest wielka tablica wmurowana, na niej surowém dżutem rzeźbiona niewiasta z obciętemi włosami na wznak leżąca z napisem: *Hic jacet Domicella Adelais filia Ducis Casimiri fundatrix illius convent. obiit a. d. CCXI.* (Patrz Balińskiego. Pol. Star.).

d. Dzięki téż składam serdeczne Panu Bar przewodnikowi memu po Sandomierzu, a powszechnie szanownemu urzędnikowi i obywatelowi.

e. Obrazy w celi xieni nie są anachronizmem, wszak Bol. krzywousty, nosił na sobie malowany portret ojca, a Cimabuego tradycya wylegająca się z pieluszek Bizanckiej szkoły, Giotto poprzedzająca, miała nie mało rozgłosu w Europie. Dość zresztą w klasztorze Sądeckim obaczyć pamiątki po Sw. Kindze, będące bardzo ważnym zabytkiem archeologicznym, jakoto: pierścień jój zaręczynowy, na rubinie śliczna rzeźba wyobrażająca dwie osoby obejmujących się uściskiem serdecznym, trzonek od jój noża drewniany z misternie rzeźbionym bokiem, jój łyżeczka opalowa misternie w złoto emaliowane oprawna, jój kubek do picia i relikwiarzyk w kształcie monstrancyj małej, nie mniej przepyszny krucifix na korytarzu klasztorzym późniejszej epoki. Widziałem osobiście te cenne zabytki prastarych czasów. —